Dom parowy

Podróż po Indyach północnych

Juliusz Verne

Juliusz Verne

Dom parowy
Podróż po Indyach północnych

Wersja Demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Juliusz Verne

„Dom parowy”

Copyright © by Juliusz Verne, 1882
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia J. Czainskiego w Samborze
Wydawnictwo: Księgarnia K. Łukaszewicza
Lwów, 1882

ISBN: 978-83-8119-351-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
http://wydawnictwo.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Tom I

I.
Głowa, na którą nałożono cenę.

„Dwa tysiące liwrów nagrody otrzyma ten, kto dostawi żywym czy umarłym jednego z dawniejszych przewódzców powstania Cipaiów, a który przebywa obecnie w prezydencyi Bombay, „nabab Dandau - Pant”, znany powszechnie pod imieniem...”

Takie ogłoszenie mogli czytać mieszkańcy Aurungabad, wieczorem dnia 6 marca 1869 r.

Ostatniego nazwiska, nazwiska znienawidzonego i na wieki przeklętego u jednych, a uwielbianego cichaczem od drugich, brakowało na ogłoszeniu, które świeżo przylepione było na starym murze nad brzegiem Doudhmy, bo dolny koniec afiszu, gdzie było wydrukowane wielkiemi literami, oddarty został ręką jakiegoś fakira, którego trudno było dostrzedz na tym pustym podówczas brzegu. Z imieniem tem znikło również i imię namiestnika prezydencyi Bombay, podpisującego także imię wice króla Indyi. — Jaki mógł mieć powód ów fakir? Czyż spodziewał się rozdzierając to ogłoszenie, że powstaniec z r. 1857 uniknie ścigania i ujdzie wyroku? Czyż mógł myśleć, że rozgłos tego strasznego imienia rozwieje się tym sposobem jak owe kawałki oddartego papieru?

Byłoby to szaleństwem.

Mnóstwo innych afiszów porozlepianych było na murach domów, pałaców meczetów i domów zajezdnych w Aurungabad.

Co więcej, kuryer przebiegał wszystkie ulice miasta czytając głośno wyrok namiestnika. Mieszkańcy najnędzniejszych wiosek na prowincyi wiedzieli już, że majątek cały obiecany był temu, kto wyda Dandu - Pant. Nazwisko to nadaremnie tu zniszczone, w dwunastu godzinach rozlegnie się głośnem echem po całej prezydencyi. Jeżeli doniesienia były prawdziwe, a nabab istotnie szukał schronienia w tej części Industanu, to bez żadnej wątpliwości wpadnie on w ręce tych, których jak największym interesem będzie, dobrze go przytrzymać.

Jakiem uczuciem powodował się ów fakir, kiedy rozdzierał ogłoszenie, którego i tak tysiące krążyło egzemplarzy?

Uczuciem gniewu niezawodnie, a może też i wzgardy. Dość że ruszywszy ramionami, wmięszał się w tłum najludniejszej i najnędzniejszej części miasta.

Nazywają Dekkanem tę część półwyspu południowego indyjskiego, leżącego po za Gangesem. Dekkan znaczy w sanskrycie „południe” zawiera w sobie pewną ilość prowincyi. Jedną z główniejszych, jest prowincya Aurungabad, której stolica była niegdyś stolicą całego Dekkanu.

W XVII. wieku sławny cesarz mongolski Aurung-Zeb przeniósł dwór swój do tej stolicy, która znaną była w pierwszych czasach historyi Industanu pod nazwiskiem Kirkhi. Miasto to posiadało wówczas sto tysięcy mieszkańców. Dziś ma zaledwie pięćdziesiąt tysięcy pod panowaniem Anglików, którzy rządzą niem niby na rzecz Nizam Haiderabad. Jednakowoż jestto miasto najzdrowsze na półwyspie, nienawidzane do dziś dnia przez straszną cholerę azyatycką i do dziś dnia nie odwiedzane nawet przez epidemiczne febry tak straszne w Indyach.

Aurungabad przechowało wspaniałe szczątki dawnej

świetności. Pałac Wielkiego Mongoła wzniesiony na prawym brzegu Dhoudmy, pomnik sułtanki ulubionej Shah - Jahau, ojca Aurung - Zeb, meczet naśladowany podług Padja - d'Agra, który wznosi swoje cztery minarety na około kopuły kształtnie zaokrąglonej, inne pomniki artystycznie zbudowane, bogato ozdobione świadczą o wielkości i potędze jednego z najznakomitszych zdobywców Indostanu, który wzniósł to królestwo przyłączywszy do niego Caboul i Assam do niezrównanej potęgi i dobrobytu. Chociaż ludność od owego czasu w Aurungabad znacznie się zmniejszyła jak mówiliśmy wyżej, to jednakowoż jeden człowiek mógł łatwo ukryć się pośród tych typów tak różnorodnych, z których się składało to miasto.

Żebrak ten prawdziwy czy udany zmięszany z pospólstwem, nie odróżniał się od niego w niczem. Podobnych jemu w Indyach obfitość wielka. Tworzą oni z tak zwanymi „Sayed” korporacyę żebraków religijnych, którzy proszą o jałmużnę przechodniów pieszo czy konno, a jeżeli nie uzyskają jej dobrowolnie, to umieją wymódz przebiegiem. Nie wzgardzają oni rolą męczenników z własnej woli i doznają wielkiego poważania u klas niższych ludu indyjskiego.

Fakir o którym mowa, byłto człowiek wzrostu wysokiego a jeżeli przeszedł czterdziestkę, to nie o więcej jak o rok lub dwa. Twarz jego przypominała piękny typ maharatt, szczególnie blaskiem czarnych jego oczu zawsze ożywionych, ale pięknych rysów jego rasy trudno byłoby dopatrzyć się pod śladami ospy, która poryła mu twarz. Człowiek ten jeszcze w sile wieku, był giętki a silny. Znak szczególniejszy; brakowało mu jednego palca u lewej ręki. Włosy miał farbowane na czerwono, chodził

prawie na pół nagi, bez obuwia, na głowie turban, ledwie okryty lichą kolorową koszulą wełnianą, paskiem przepasaną, Na piersiach jego widać było symbol dwóch pierwiastków mitologii indyjskiej tworzącego i niszczącego głowę lwa czwartego wcielenia Wisznu, trzy oczy i symboliczny trójząb srogiego Siwy.

W Arungabad po ulicach, a szczególnie po tych lichszych zaułkach, gdzie tłumy kosmopolityczne niskich warstw przemieszkują, widoczne było wzruszenie wielkie, łatwo dające się wytłumaczyć. Tam to tłumy roiły się po przed ruderami, które im służyły za mieszkania. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy Europejczycy czy krajowcy, żołnierze z regimentów królewskich czy regimentów rodowitych krajowców, żebracy rożnego rodzaju, wieśniacy z okolic, wszystko to spotykało się, gwarzyło, giestykulowało, dowodziło, rozmyślając nad możebnością pozyskania nagrody obiecanej przez rząd. I przed kołem loteryjnem, które wyciąga wielkie losy na dwa tysiące liwrów, wzruszenie nie byłoby większe. Można nawet dodać, że tą razą nikogo nie było coby nie miał szansy wyciągnienia dobrego numeru, którym była głowa Dandu - Pant. Szczególniejszego wprawdzie potrzeba było szczęścia i szczególnej też odwagi, by ująć nababa.

Fakir widocznie sam jeden pomiędzy wszystkiemi, którego nie wabiła nadzieja pozyskania nagrody, przesuwał się pomiędzy tłumy, zatrzymywał czasem nadsłuchując co mówiono, jako człowiek który mógłby z tego coś skorzystać. Ale nie mięszał się wcale do gadaniny ani jednych ani drugich, a jeżeli usta jego milczały, to zato uszy i oczy wcale nie wypoczywały.

— Dwa tysiące za odkrycie nababa! — wolał jeden wznosząc pięści ściśnione ku niebu.

— Nie za odkrycie, ale za pochwycenie, odrzekł inny, to wielka różnica.

— W istocie to człowiek który nie łatwo da się pochwycić, a pochwycony bronić się będzie zajadle.

— A czyż nie mówiono tu kiedyś, że umarł na febrę w Népaul?

— Nic w tem nie ma prawdy! Chytry Dandu - Pant chciał ogłosić się za umarłego, by tem bezpieczniej mógł żyć!

— Chodziły nawet pogłoski jakoby go pogrzebano w jego obozie na granicy.

— Fałszywe grzebanie żeby zwieść.

Fakir słuchał bez najmniejszego znaku wzruszenia opowiadania tego ostatniego zdarzenia. Jednakowoż czoło jego zmarszczyło się mimowolnie, gdy usłyszał Indyanina jednego najbardziej ożywionego w grupie do której się przyłączył, opowiadającego następujące szczegóły, szczegóły tak dokładne, że niepodobna by były nieprawdziwe:

— To jest pewne, mówił Indyanin, że bogacz w r. 1859 schronił się z bratem swoim Balao Rao i ex rajah z Gondy, Debi-Bux-Singh, na pola u podnóża gór Népaul. Tam natarci zbliska przez wojsko angielskie, wszyscy trzej postanowili przejść granicę indochińską. Otóż nim ją przeszli, nabab i dwaj jego towarzysze, ażeby lepiej uwierzytelnić pogłoskę o swej śmierci, urządzili sami obrzęd pogrzebowy, ale na pogrzebie tym pochowano jedynie palec lewej ręki każdego, które obcięli sobie podczas żałobnego obrządku.

— Z kądże ty to wiesz? — zapytał jeden ze słuchaczy Indyanina, który opowiadał z taką pewnością.

— Byłem obecny pogrzebowi, odrzekł Indyanin. Żołnierze Dandu-Pant wzięli mnie w niewolę, z której dopiero po sześciu miesiącach ledwo zdołałem uciec.

Podczas kiedy Indyanin opowiadał tak stanowczo, fakir nie spuszczał go z oka. Błyskawicą zaiskrzyły mu się oczy, schował przezornie rękę skaleczoną pod łachmany wełniane, które pokrywały mu pierś. Słuchał nie mówiąc i słowa, ale wargi jego drżały odkrywając zęby zaciśnięte.

— Tym sposobem to ty znasz nababa? — pytano byłego niewolnika Dandu-Panta.

— Tak jest, odrzekł Indyanin.

— I poznałbyś go niezawodnie, gdyby przypadek zbliżył was do siebie.

— Tak dobrze jak poznaję sam siebie.

— Ah to masz szansę do wygrania dwu tysięcy liwrów, odparł jeden ze słuchaczy ze źle ukrytą zawiścią.

— Może... odpowiedział Indyanin, jeżeli prawda, że bogacz był o tyle nierozsądnym narażać zbliżając się aż do prowincyi Bombay, co jednakże zdaje mi się nieprawdopodobnem.

— A cóżby on tu robił?

— Chce próbować niezawodnie wywołać nowe powstanie, powiedział jeden z grupy, jeżeli nie w Cipaye, to może między mieszkańcami wsi okolicznych.

— Ponieważ rząd zapewnia o obecności jego w prowincyi, odparł jeden z rozmawiających, należący do kategoryi ludzi, którzy wierzą że władza nigdy mylić się nie może, to zapewne musiał być dobrze poinformowany pod tym względem.

— Być może, odrzekł Indyanin. Dałby Brahma żeby Dandu-

Pant wszedł mi w drogę, a szczęście moje byłoby zupełne.

Fakir cofnął się parę kroków lecz nie tracił z oczu dawnego więźnia bogacza. Była noc już ciemna a jednakowoż ruch na ulicach Aurungabad nie zmniejszał się wcale. Gadaniny krążyły jeszcze żywiej na temat nababa. Tu mówiono jakoby był widziany w samem mieście, tam że już jest daleko za miastem. Twierdzono również że sztafeta z północy nadniosła wiadomość o przyaresztowaniu Dandu-Panta. O dziewiątej godzinie wieezorem dobrze poinformowani utrzymywali że już zamknięty w więzieniu miejskiem w towarzystwie kilku thugs, którzy tam siedzą prawie od lat trzydziestu, i że będzie powieszony nazajutrz skoro świt, nie wyczekując żadnych formalności tak jak postąpiono z Tantia-Topi, jego znakomitym towarzyszem rewolucyi na placu Sipri. Ale o dziesiątej godzinie inne znowu przeczące wiadomości. Rozeszła się pogłoska, że niewolnik prawie zaraz zdołał umknąć, co, rozbudzało nowe nadzieje dla tych wszystkich, których nęciła nagroda dwu tysięcy liwrów!

W istocie wszystkie te pogłoski były fałszywe. Najlepiej poinformowani nie wiele więcej wiedzieli od tych, którzy nic nie wiedzieli. Głowa bogacza wartą była zawsze swoją cenę, była zawsze do wzięcia, i dla tego to ów Indyanin, ponieważ znał osobiście Dandu-Pant, mógł bardziej jak ktokolwiek obiecywać sobie, pozyskanie nagrody. Mało kto szczególnie w prezydencyi Bombay, miał sposobność spotkać się z dzikim przewódzcą wielkiego powstania. Bardziej na północ i bardziej w środku, w Sindhia, w Bundelkund, w Oude, w okolicach Agry, Delhi, Cawnpore, Lucknouw, na ziemiach które były teatrem okrucieństw popełnianych z jego rozkazów, całe tłumy byłyby powstały przeciw niemu, aby go wydać władzy angielskiej.

Pokrewni jego ofiar, mężowie, bracia, dzieci, żony opłakiwały jeszcze dziś tych, których nabab kazał masakrować setkami. Dziesięć lat upłynęło, a jednak czas ten nie przygasił najsłuszniejszego uczucia zemsty i nienawiści w sercach mieszkańców. To też niepodobieństwem byłoby żeby Dandu-Pant tak był nierozsądnym i odważał się iść do tych prowincyi, gdzie imię jego okryte było przekleństwem i nienawiścią wszystkich. Jeżeli tedy jak mówiono przeszedł on granicę indo-chińską, jeżeli jakieś powody nieznane, projekt powstania lub coś podobnego, skłoniły go do opuszczenia swego bezpiecznego schronienia, którego wyśledzieć nawet policya anglo-indyjska nie mogła, to tylko prowincye Dekkanu mogły mu zapewnić jakie takie bezpieczeństwo.

Widzimy jednak, że wiadomość o pojawieniu się jego w prezydencyi doszła do gubernatora, i zaraz na głowę jego naznaczono tak wysoką cenę.

Nadmienić jednak wypada że w Aurungabad wyższe klasy mieszkańców niedowierzały otrzymanej wiadomości. Tyle już razy rozchodziły się wieści że widziano a nawet schwytano nababa, tyle fałszywych wieści krążyło o nim, iż utworzyła się legenda o cudownej wszędobytności bogacza i jego zręczność mylenia poszukiwań najzręczniejszych nawet agentów policyjnych, iż pospólstwo wierzyło wszystkiemu. W rzędzie mniej niedowierzających naturalnie był dawniejszy niewolnik bogacza. Biedak ten olśniony obietnicą nagrody, ożywiony zresztą potrzebą zemsty osobistej, myślał tylko o utarczce i uważał prawie zwycięztwo za pewne. Plan jego bardzo był skromny. Zaraz nazajutrz miał ofiarować usługi swoje namiestnikowi, później dowiedziawszy się dokładnie co też

wiedziano tam o Dandu-Pant, to jest na czem polegały doniesienia ogłaszane na plakatach, postanowił udać się wprost zaraz na miejsce, które mu naznaczą jako pobyt nababa.

Około jedenastej godziny nasłuchawszy się tyle różnych zdań, które pomieszane w jego głowie potwierdzały go jednakże w jego projekcie, postanowił Indyanin udać się trochę na spoczynek. Za mieszkanie służyła mu łódka uwiązana u brzegu Doudhmy, tam więc zwrócił swe kroki marząc z nawpół zmrużonemi oczyma.

Nie spodziewał się wcale że fakir nie spuszczał go z oka, szedł za nim niepostrzeżony jak cień cichuteńko by nie zwrócić jego uwagi. Na końcu już tej ludnej dzielnicy, ulice były mniej ożywione o tej godzinie. Główna ulica kończyła się gdzieś na wolnem miejscu, które ograniczone było brzegami Doudhmy.

Był to jakby rodzaj pustyni za miastem. Kilku opuźnionych przechodziło jeszcze tamtędy, lecz widać spieszno im było dostać się do części miasta więcej zaludnionych.

Niedługo i odgłos ostatnich kroków już ucichł, a Indyanin niespostrzegł się wcale, że sam jeden tylko szedł nad brzegiem rzeki.

Fakir śledził go ciągle wybierając miejsca najbardziej przyciemnione, czy to pod cieniem drzew czy to prześlizgując się po pod ciemne mury ruin tu i owdzie porozrzucanych. Ostrożność ta fakira wcale nie była zbyteczną, księżyc właśnie wychodził z poza chmur i rzucał swe blade światło w przestrzeni. Indyanin mógłby był zauważyć, że był śledzony, a nawet docierany coraz bliżej, chociaż kroków fakira nie zdradzał najlżejszy nawet szelest, gdyż ten boso przesuwał się raczej niż szedł w ślady Indyanina.

Tak upłynęło pięć minut, Indyanin zbliżył się prawie machinalnie do nędznej łódki, w której zwykle noc przepędzał.

Szedł jako człowiek przyzwyczajony odwiedzać co wieczór to miejsce osamotnione. Zatopiony był cały w tej myśli, że nazajutrz uda się prosto do namiestnika. Nadzieja że pomścić się będzie mógł na bogaczu, który wcale nie był dla niego uprzejmym podczas niewoli, przyłączona do dzikiej rządzy zyskania nagrody, czyniła go ślepym i głuchym na wszystko.

Najlżejszego nie miał nawet przeczucia o niebezpieczeństwie, na jakie go naraziło nieostrożne jego odezwanie się wśród tłumu, niewidział fakira zbliżającego się doń coraz bliżej a bliżej.

W tem nagle jak tygrys tenże rzucił się na niego, a promień księżyca odbił się na stali sztyletu.

Indyanin uderzony gwałtownie w pierś zachwiał się i potoczył na ziemię.

Jednakowoż choć cios wymierzony był ręką wprawną, nieszczęśliwy niezostał jeszcze zabity. Kilka słów nawpół niewyraźnych wymknęło się z ust jego równocześnie ze strumieniem krwi. Morderca nachylił się, podniósł głowę dogorywającej ofiary, i odwracając się tak że promienie księżyca oświetlały mu twarz.

— Poznajesz mnie? — rzekł.

— To on, szepnął Indyanin.

I imię straszliwe fakira miało być ostatniem jego słowem, gdy tymczasem skonał. Za chwilę ciało Indyanina znikło w nurtach Doudhmy, która nigdy już nie miała je zwrócić.

Fakir poczekał aż ucichły ostatnie pluskania wody, wrócił swą drogą, przeszedł puste miejsca, później przedmieście, które

poczynało już się wyludniać, i szybkim krokiem skierował się ku jednej z bram miasta.

Ale bramę tę zamykano właśnie gdy się zbliżał do niej. Kilku żołnierzy z armii królewskiej strzegło przejścia. Fakir nie mógł już opuścić Aurungabad jak sobie tego życzył.

— Muszę jednakowoż wyjść, a to nawet tej nocy... lub nie wyszedłbym już z niego nigdy! — mruknął sam do siebie.

Zawrócił się więc znowu, szedł wzdłuż murów wewnątrz i dwieście kroków od bramy usiłował wyleść na wierzch wału.

Szczyt wału na zewnątrz miasta wznosił się o jakie pięćdziesiąt stóp po nad fosą wykopaną pomiędzy szkarpami. Był to mur prostopadły bez gzymsu, nawet chropowatości żadnej, któraby mogła służyć w danym razie za punkt oparcia. Zdawało się rzeczą niepodobną żeby człowiek mógł zesunąć się po muru tego gładkiej powłoce. Po sznurze możnaby było może próbować złazić, ale pasek, którym opasany był fakir był ledwie kilka stóp długi, a zatem nie mógł wystarczyć aż na dół.

Fakir zatrzymał się chwilę, spojrzał naokoło siebie, i rozważał co mu czynić wypadało.

Na szczycie wału okrągliło się kilka kopuł z zieleni drzew otaczających jakby wieńcem zielonym Aurungabad do koła.

Z zieleni tej wystawały długie giętkie gałęzie, za które możnaby uchwycić chciawszy się dostać choć z wielkiem niebezpieczeństwem na dół fosy.

Fakir skoro tylko przyszła mu ta myśl, nie wahał się długo. Rzucił się na drzewo, i za chwilę widać go było z drugiej strony muru wiszącego na długiej gałęzi, która uginała się coraz bardziej pod tym ciężarem. Kiedy się już gałęź dostatecznie

ugięła i dozwoliła dotknąć muru, fakir spuścił się pomału, jak gdyby po linie z węzłami, tak dostał się aż do połowy muru, ale jakie trzydzieści stóp przedzielało go jeszcze od ziemi, na której potrzeba było stanąć, ażeby umożebnić ucieczkę.

I tak uwieszony na rękach wisiał w powietrzu szukając nogami bodaj jakiego szczerbu, któryby mógł służyć mu za punkt oparcia...

W tem jak błyskawica przeleciało coś w powietrzu. Wystrzały zahuczały, zbiega ujrzeli żołnierze na warcie, dali ognia, ale strzały chybiły, tylko kula jedna trafiła gałęź, na której wisiał i naruszyła ją dwa cale po nad głową.

W dwanaście może sekund potem gałąź ułamała się a fakir spadł do fosy.

Kto inny byłby się zabił, on powstał zdrowy i cały. Powstać, przeleźć drugie szkarpy pośród nowego gradu kul, które go również nie dosięgły, zniknąć w cieniach nocy, było już tylko igraszką dla zbiega.

O dwie mile dalej przechodził niespostrzeżony koło namiotów wojska angielskiego obozującego poza murami Aurungabad. O dwieście kroków dalej zatrzymawszy się obrócił i podniósł rękę skaleczoną ku miastu, wyciągając ją wymawiał te wyrazy:

— „Biada tym którzy wpadną jeszcze kiedykolwiek w moc Dandu-Pant! Anglicy wyście nie skończyli jeszcze z Nana Sahib!”

Nabab raz jeszcze rzucił zdobywcom Indyi, jak groźne wyzwanie, wojenne swoje przezwisko, jedno z najgroźniejszych z tych wszystkich, które podczas strasznego buntu w 1857 tak krawym[1] zasłynęły rozgłosem.

II.
Pułkownik Munro.

— I cóż kochany Maucler, rzekł do mnie inżynier Banks, nie opowiadasz nam wcale o twojej podróży. Myślałby kto, żeś jeszcze nigdy nie wyjrzał poza Paryż! Jakże znachodzisz Indye?

— Indye! odrzekłem, ależ żeby o nich mówić z jaką taką dokładnością potrzeba by przynajmniej je widzieć!

— Masz tobie, czyż nie przejeżdżałeś właśnie półwyspu Bombay do Kalkuty, chyba żeś był ciemnym...

— Nie, nie byłem ciemnym wcale mój kochany Banks, ale podczas tej podróży byłem oślepiony.

— Oślepiony?

— Tak jest oślepiony dymem, parą, pyłem i co najbardziej szybkością jazdy. Nie chcę ja źle mówić o kolejach żelaznych ponieważ to twoje zadanie je budować mój kochany Banks, ale wcisnąć się gdzieś w klatkę wagonową i widzieć tylko szyby w drzwiczkach zamiast wszelkich pięknych i ciekawych widoków, pędzić dzień i noc dziesięć mil na godzinę raz po nad przepaście i skały z orłami, to znowu po pod tunele w towarzystwie myszy leśnych lub szczurów, a nie zatrzymywać się nigdzie chyba na dworcach, które wszystkie jeden jak drugi, widzieć miast zewnętrzne tylko mury albo szczyty wież i kopuł, być w ciągłym i ustawicznym wirze, nie słyszeć nic prócz gwizdu lokomotyw i zgrzytu relsów, czyż to znaczy podróżować?

— Dobrze mówi! — wykrzyknął kapitan Hod. — Odpowiedz na to jeżeli umiesz Banks! Jakże ty o tem sądzisz pułkowniku?

Pułkownik, do którego zwrócił się właśnie kapitan Hod, skłonił

lekko głową i odpowiedział:

— Jestem ciekawy, co Banks odpowie panu Maucler naszemu gościowi.

— Tem się wcale nie kłopoczę, odrzekł inżynier, i wyznaję że Maucler ma słuszność pod każdym względem.

— Toż jeżeli tak, to na cóż budujesz koleje żelazne?

— Dla tego kapitanie, abyś mógł, gdy ci pilno, w sześćdziesięciu godzinach dostać się z Kalkuty do Bombay.

— Mnie nigdy nie pilno.

— Więc dobrze, to w takim razie kapitanie najlepiej podróżuj piechotą.

— To też właśnie myślę tak uczynić.

— Kiedy?

— Wtedy gdy mój pułkownik zechce odbyć ze mną piękną przechadzkę przez ośm lub dziewięć set mil po półwyspie.

Pułkownik uśmiechnął się tylko i zapadł w swoje zwykłe marzenia, a w takich chwilach nawet najlepsi jego przyjaciele, jak inżynier Banks i kapitan Hod, z trudnością słówko z niego wydobyć mogli.

— Zaledwie od miesiąca bawiłem w Indyach, a przyjechawszy wprost koleją z Kalkuty do Bombay wcale półwyspu nie znałem.

— Zadaniem mojem było zwidzieć najprzód część jej północną za Gangesem, zwidzieć wszystkie większe miasta, przypatrzyć się główniejszym pomnikom i poświęcić temu zwiedzaniu tyle czasu, ile tylko potrzeba żeby dokładnie wszystko poznać. Poznałem był przed kilkoma laty w Paryżu inżyniera Banks i bardzo zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Obiecałem że go odwiedzę w Kalkucie jeżeli tylko budowa Seind

Punjab and Delhi, przy której byłem zajęty, zostanie ukończoną. Otóż teraz gdy to nastąpiło, Banks miał prawo wypocząć parę miesięcy, więc zaproponowałem mu żeby wypoczywając odbywał ze mną podróże po Indyach. Że przyjął moją propozycję z zapałem, nie podlega żadnej wątpliwości. To też mieliśmy wyjechać za parę tygodni jak tylko przyjazna nastanie pora. Przybyłem do Kalkuty w marcu r. 1867. Banks zaznajomił mię z jednym ze swoich dobrych przyjaciół, kapitanem Hod; później przedstawił mię przyjacielowi swemu pułkownikowi Munro, u którego właśnie spędzaliśmy wieczór. Pułkownik mógł mieć około czterdziestu lat, zamieszkiwał dom trochę odosobniony, leżący w dzielnicy europejskiej, a tem samem po za obrębem ruchu, który znamionuje to miasto handlowe i to czarne miasto, które tworzy właściwą stolicę Indyi. Część tę miasta nazywano „miasto pałaców” i rzeczywiście pałaców tam nie brakowało, jeżeli w każdym razie nazwać można pałacem mieszkania dlatego, że tylko portykami, kolumnami i tarasami przypominają pałace. W Kalkucie spotykają się wszystkie porządki architektoniczne, które gust angielski rozpowszechnia w mieście dwóch światów.

Co do mieszkania pułkownika, był to „bungalow” pełen prostoty, dom o parterze wzniesiony na podmurowaniu z cegieł, pokryty dachem piramidalnym. Wokoło domu ciągnęła się weranda wsparta na lekkiej kolumnadzie. Po obu stronach domu były wozownie, kuchnie, stajnie i różne zabudowania gospodarskie, a wszystko razem wzniesione było w ogrodzie, pełnym pięknych drzew i otoczonym niewysokim murem. Całe urządzenie tego domu dowodziło wielkiej zamożności właściciela.

Służbę miał liczną jak to zwykle bywa w domach rodzin indo-angielskich na półwyspie. Sprzęty, ruchomości, rozkład zewnętrzny i wewnętrzny, wszystko to było dobrze obmyślane, z powagą utrzymywane, ale jednakowoż czuć było brak ręki kobiecej.

Zarząd służby całej, prowadzenie domu zdał pułkownik zupełnie dawnemu towarzyszowi broni, sierzantowi Mac Neil, który przebywał z nim wszystkie kampanie w Indyach; było to jedno z tych poczciwych serc co bije w piersi dla tych, dla których się poświęca. Mac Neil był szkotem, mający lat czterdzieści pięć, silny, rosły noszący długą brodę jak w górach Szkotowie. Jego postawa, wyraz twarzy, rysy, a nawet tradycyjny ubiór zdradzały, że służył w armii królewskiej, którą opuścił wziąwszy dymissyę równocześnie z pułkownikiem Munro. Obadwaj wystąpili z wojska od r. 1865. Ale zamiast wrócić do rodzinnego kraju pośród wiekowych pamiątek ich przodków, obaj pozostali w Indyach i żyli w Kalkucie w pewnego rodzaju odosobnieniu jakby w rezerwie, co musi być bliżej wytłómaczone.

Zanim Banks przedstawił mię pułkownikowi Munro jedną tylko zrobił mi uwagę:

„Nie wspominaj nigdy o powstaniu Cipayów, a szczególnie nie wymów nigdy imienia Nana Sahib.

Pułkownik Munro pochodził ze starodawnej rodziny szkockiej, której przodkowie odznaczali się w dziejach połączonego królestwa. Liczył pomiędzy przodkami swoimi sławnego sir Hector Munro, który dowodził armią bengalską w 1760 r. i właśnie stłumił powstanie, które o wiek później Cipayowie mieli podnieść na nowo. Major Munro powstrzymał powstanie

z nieubłaganą surowością, i bez wachania kazał przywiązać jednego dnia dwudziestu ośmiu powstańców do działa, męczarnie okrutne które często później się powtarzały podczas powstania 1857, a których okrutnym wynalazcą był właśnie może pradziad pułkownika.

W czasie kiedy Cipayowie podnieśli bunt, pułkownik Munro dowodził 93 regimentem piechoty szkockiej w armii królewskiej.

Przebywał on prawie całą kampanię pod głównem dowództwem sir James Outram , bohatera tej wojny, którego sir Karol Napier nazwał Bajardem armii indyjskiej. Z nim tedy był pułkownik Munro w Cawnpore, należał także do drugiej kampanii Collin Campbella w Indyach, był przy oblężeniu Luckuowa i nie opuszczał tego znakomitego żołnierza aż kiedy tenże mianowanym został członkiem rady indyjskiej w Kalkucie.

W r. 1858 pułkownik sir Edward Munro został kawalerem orderu „gwiazda Indyi” „te Star of Indja (K. C. S. I.)” i dostał tytuł baroneta, a żona jego byłaby nosiła tytuł lady Munro[2], gdyby dnia 27 czerwca 1857. ta nieszczęśliwa nie była zginęła w strasznej rzezi w Cawnpore, rzezi popełnionej pod okiem i z rozkazów Nana Sahib.

Lady Munro, przyjaciele pułkownika nigdy jej inaczej nie nazywali, była uwielbianą przez swego męża. Miała zaledwie 27 lat kiedy zginęła z dwustu innemi ofiarami w tej obrzydłej rzezi. Mistress Orr i miss Jakson, prawie cudownie ocalone po wzięciu Luckuowa przeżyły, jedna swojego męża, druga swojego ojca, lady Munro zaś nie mogła już nigdy być wróconą pułkownikowi Munro.

Zwłoki jej nawet nie mogły być po chrześcijańsku pogrzebane, gdyż nie podobna było odszukać je pośród ciał tylu

nieszczęśliwych ofiar rzuconych razem w jedną ze studzien karomporskich.

Sir Edward Munro zrozpaczony miał już tylko jedną myśl, jedyną: znaleść Nana Sahib, którego rząd angielski ścigał na wszystkie strony i wtedy nasycić swoją zemstę, która jak pragnienie straszne trawiła go nieustannie. Ażeby nie być krępowanym w swoich czynnościach podał się do dymissyi. Sierzant Mac Neil szedł zawsze za nim ślad w ślad. A tak ci dwaj ludzie, ożywieni jednym duchem, żyli jedną myślą, do jednego dążyli celu, rzucali się na każdy trop jego, śledzili każdy ślad, ale mimo to nie lepiej im się powiodło jak i policyi anglo-indyjskiej. Nana uszedł pomimo wszelkich poszukiwań. Po trzech latach daremnych wysileń, pułkownik i sierzant musieli chwilowo zaprzestać dalszych usiłowań i poszukiwań. Zresztą w tym czasie pogłoska o śmierci Nany Sahib krążyła po Indyach z taką cechą prawdziwości, że niepopobna[3] było powątpiewać.

Sir Edward Munro i Mac - Neil powrócili tedy do Kalkuty, gdzie osiedli w samotnym domu. Tu nie czytując ani książek, ani dzienników któreby mogły były przypomnieć mu okrutne chwile powstania, nie wychodząc nigdy z domu, pułkownik żył jak człowiek, którego życie bez celu. Jednakowoż myśl o żonie nie opuszczała go nigdy. Zdawało się, że czas nie wpłynął na niego by ukoić żale.

Dodać potrzeba że wiadomość o pojawieniu się Nany w prezydencyi Bombay, wiadomość która krążyła od kilku dni, nie doszła do wiadomości pułkownika. I to było bardzo szczęśliwie, bo byłby był tej chwili opuścił bungalow.

Oto co dowiedziałem się od Banksa, nim mię wprowadził w ten dom, z którego wszelka radość wygnaną była na zawsze.

I oto dlaczego trzeba było strzedz się nawet jakiejkolwiek wzmianki tak o buncie Cipayów, jako też o najokrutniejszym z jego przywódzców Nana Sahibie.

Dwóch tylko przyjaciół, przyjaciół na życie i śmierć niezłomnych, uczęszczało w dom pułkownika, byli nimi: inżynier Banks i kapitan Hod.

Banks jak mówiłem, właśnie ukończył roboty, których był się podjął przy budowie kolei żelaznych Great Indian Peninsular. Był to człowiek lat czterdzieści pięć liczący, w pełnej sile wieku. Miał przyjąć czynny udział przy budowie Madras railway przeznaczony do połączenia zatoki Arabskiej z zatoką Benguela, roboty te prawdopodobnie mogły zacząć się dopiero za rok. Wypoczywał tedy w Kalkucie zajmując się ciągle różnemi planami mechanicznemi, bo był to umysł czynny, nieustannie goniący za nowemi odkryciami. Cały swój czas poza zajęciami poświęcał pułkownikowi, do którego wiązała go przyjaźń dwudziestoletnia. Toż wszystkie prawie wieczory spędzał pod werandą w towarzystwie sir Edwarda Munro i kapitana Hod, który także właśnie uwolnił się był od służby na dziesięć miesięcy. Hod należał do pierwszego szwadronu karabinierów królewskich i odbył r. 1857 całą kampanię najprzód z sir Colin Campbell w Oude i Rohilkhande, później z sir H. Rose w Indyach środkowych. Kampania która skończyła się wzięciem Gwalior.

Kapitan Hod wychowany w twardej szkole indyjskiej, miał lat ledwie trzydzieści: broda i włos koloru czerwono bląd, członek znakomity klubu w Madras, chociaż był w armii królewskiej, można go było jednakowoż wziąć za oficera armii krajowców tak się już był „zindijanizował” podczas pobytu swego na półwyspie. Nawet gdyby się był rodził w Indyach nie byłby był więcej

Indjaninem. Uważał on Indye za kraj wyjątkowy, za ziemię obiecaną, za krainę szczęśliwą w całem znaczeniu tego wyrazu i jedyną, gdzie człowiek może i powinien żyć. Teraz w istocie znachodził wszystko, co tylko mogło zadowolić jego pragnienia. Żołnierz z usposobienia miał też sposobność staczania ciągłych bojów. Myśliwy znakomity, czyż nie był w kraju gdzie przyroda jakby nagromadziła wszystkie jelenie, rogacze i t. d. i wszystką zwierzynę skrzydlatą i czworonożną dwóch światów? Turysta odważny, czyż nie miał tuż koło siebie tego imponującego łańcucha gór Thybetańskich, w którym znachodzą się najwyższe szczyty na kuli ziemskiej? Podróżnik niczem nie zrażony, czyż nie mógł kierować krokami swoimi w strony niedostępnych okolic granicy himalajskiej, gdzie jeszcze nie powstała noga ludzka? Turfista zapalony, czyż brakowało mu areny na kursa, które w oczach jego zastępowały kursa w Masche, albo w Epsom? Na tym punkcie właśnie Banks i on zupełnie się nie zgadzali. Inżyniera jako „mechanika” czystej krwi, mało zajmowały bohaterstwa biegunów arenowych. Jednego nawet dnia gdy kapitan Hod wyciągał go na słowo w tej kwestyi, Banks odpowiedział mu, że jego zdaniem kursa w jednym tylko razie byłyby interesujące.

— I kiedyż to? pytał Hod.

To gdyby się zgodzono, że dżokiej, który ostatni zdąży do mety, zostanie rozstrzelanym na miejscu.

— I to myśl! odrzekł spokojnie kapitan Hod.

On istotnie byłby zdolny w własnej osobie podjąć się podobnego zakładu.

Tacy to byli towarzysze sir Edwarda Munro. Pułkownik lubiał słuchać ich sporów różnych, a wieczne ich ścieranie się

sprowadzały niekiedo[4] rodzaj uśmiechu na usta jego.

Pragnieniem wspólnem obydwu tych poczciwych towarzyszy było namówić pułkownika do jakiej podróży, któraby go rozerwała. Kilka razy proponowali mu żeby jechał na północ półwyspu, namawiali żeby przepędził kilka miesięcy w okolicach tak zwanego „Sanitarium” gdzie bogaci anglo-indyanie chronili się chętnie podczas wielkich upałów. Pułkownik zawsze opierał się temu.

Co do podróży, którą Banks i ja zamierzaliśmy odbyć, to już przeczuwaliśmy jak zostanie przyjętą. Tego właśnie wieczora kwestya ta znowu była na porządku dziennym. Wiedzieliśmy że kapitan Hod na serjo myśli odbyć pieszo wielką wycieczkę do północnych Indyi. Jeżeli Banks nie lubiał koni, to Hod znowu nie lubiał kolei żelaznych. Byli więc obaj na równi. Sposób ostateczny byłby podróżować, czy to w powozie czy w lektyce, lecz wedle swej woli, o godzinach, w których się podoba, co zresztą możebne na dobrych gościńcach porządnie utrzymywanych w Indostanie.

— Nie mów że mi o waszych wozach z wołami, ani o waszych wołach z garbami! wykrzyknął Banks. Gdyby nie my, bylibyście się jeszcze posługiwali temi landarami, które w Europie zarzucono już od pięciuset lat!

— Ech, Banks! odparł kapitan Hod, więcej one warte jak wasze wagony i wasze furgony! Ogromne woły białe, które doskonale pędzą galopem, a które można zmienić co dwie mile na każdej stacyi pocztowej...

I które wloką za sobą coś jakby statek na czterech kołach, który bardziej trzęsie i rzuca jak barka rybacka na mieliźnie po odpływie morza!

— No, pomijam statek ciągniony przez wołów, odrzekł kapitan Hod. Ale czyż nie mamy powozów na dwa, trzy, albo i cztery konie, które mogą iść w zawody z waszemi wagonami. Lecz najlepiej wolałbym po prostu lektyki...

— Ach, wasze lektyki kapitanie to prawdziwe nosze, długie sześć stóp, a szerokie cztery, gdzie człowieka kładą jakby nieboszczyka.

— Ale przynajmniej człowiek nie jest tłuczony, podrzucany, można czytać, można pisać i spać można wygodnie bez przebudzenia na każdej stacyi. Lektyką niesioną przez czterech albo i sześciu ludzi zrobi się zawsze cztery mile i pół na godzinę[5] przynajmniej nie ma obawy jak w waszych niemiłosiernych szybkowozach że się przybędzie prędzej nim się jeszcze wyjechało.

— Najlepiej byłoby, powiedziałem wtedy, gdyby można podróżować w swoim domu.

— Ślimaku! wykrzyknął Banks.

— Mój przyjacielu, odrzekłem, ślimak który mógłby opuszczać swoję skorupę i znowu do niej wchodzić wedle upodobania, nie byłby tak bardzo do pożałowania! podróżować w swoim domu, w domu toczącym się jak na kołach byłoby to zdaje się ostatnie słowo w postępie pod względem podróżowania.

— Może, rzekł na to pułkownik Munro, przenosić się z miejsca na miejsce pozostając zawsze w swojem otoczeniu, unosić ze sobą swój kącik i wszystkie pamiątki, które go zapełniają, zmieniać horyzont, odmieniać widoki atmosfery, klimat, nie zmieniając nic jednak w swojem życiu... o tak... może!

— Nie byłoby już tych bungalow przeznaczonych dla

podróżnych, odrzekł kapitan Hod, w których co do wygody dużo pozostaje do życzenia, a w których nie wolno przemieszkiwać bez pozwolenia administracyi miejscowej!

— Nie byłoby już oberzy obrzydłych, w których moralnie i fizycznie nas odzierają na różne sposoby, zauważyłem nie bez słuszności. Byłoby to coś na kształt budy wędrownych kuglarzy, wykrzyknął kapitan Hod, ale udoskonalone i upiększone, co za marzenie! Zatrzymywać się kiedy się podoba, jechać kiedy się chce, jechać sobie wolno gdy się lubi, lub pędzić galopem, mieć ze sobą nietylko pokój sypialny ale i salonik, jadalnię pokój do palenia, a przedewszystkiem swoją kuchnię i swego kucharza, oto postęp przyjacielu Banks. To tysiąc razy doskonalsze jak koleje żelazne, może mi zaprzeczysz inżynierze spróbuj.

— Eh, eh, przyjacielu Hod, odrzekł Banks, byłbym zupełnie twego zdania, gdyby...

— Gdyby? zapytał kapitan ruszając głową.

— Gdyby w zapale waszym ku postępowi niebyliście się zatrzymali w drodze.

— Czyż pozostaje jeszcze coś lepszego do zrobienia?

— Osądź sam. Uznajesz że dom toczący się o wiele doskonalszy jak wagony nawet wagony salonowe, nawet jak „sleepnig carrailways”. I masz słuszość[6] kapitanie wtedy jeśli się ma czas do stracenia, jeżeli się jedzie dla swoich przyjemności a nie dla interesów. Zdaje mi się, że wszyscy się zgadzamy na tym punkcie.

— Wszyscy! odparłem.

A pułkownik Munro skłonił potwierdzająco głową. Więc zgoda, zawołał Banks, dobrze. Lecz idźmy dalej. Udajesz się do

fabrykanta powozów, który zarazem jest i architektą, a on zbuduje tobie dom toczący się. Otóż i jest, dobrze zbudowany, dobrze obmyślany, odpowiadający wymaganiom lubiącego przepych. Nie jest on ani za wąski, toż się nie przewróci łatwo, ani za szeroki, więc może przejeżdżać wszystkiemi ulicami, dobrze umieszczony na resorach, żeby lekko nosił. Słowem doskonały! Przypuszczam że zbudowany dla przyjaciela naszego pułkownika, i ten ofiarował nam w nim miejsca. Jedziemy zwiedzać naprzykład okolice północne Indyi, jak ślimaki, ale ślimaki takie które nie są niewolniczo przykute do swej skorupy. Wszystko już gotowe. O niczem nie zapomniano ani nawet o kuchni i kucharzu, co tak drogie jest sercu kapitana. Nadszedł dzień odjazdu, już wsiadają! All right! ale ktoż ciągnąć będzie ten dom toczący się mój przyjacielu?

— Kto? zawołał kapitan Hod, toż muły, osły, konie, woły!

— Chyba tuzinami zaprzęgać by potrzeba, rzekł Banks.

— No to słonie, odparł kapitan Hod, słonie. Otóż to będzie wspaniałe i pyszne. Dom ciągniony zaprzęgiem słoni, dobrze wyćwiczonych, wspaniałej postawy, galopujących jak najpiękniejsze rumaki w świecie!

— Byłoby to przepyszne kapitanie!

— Uprząż jak dla królów indyjskich mój inżynierze.

— Tak, ale...

— Ale... Cóż czy jeszcze jest jakie ale! zawołał kapitan Hod.

— I wielkie ale!

— Ah, ci inżynierowie! oni tylko są dobrzy na to żeby wszędzie znachodzić trudności.

— I ażeby je pokonywać, jeśli są do pokonania, odparł Banks.

— A więc pokonajże je.

— Właśnie pokonywam i oto w jaki sposób. Mój kochany Munro, wszystkie te motory o których mówił kapitan, ruszają się, pociągają, wloką, ale się i utrudzają. Bywa to uporne, narowi się, a szczególnie potrzebuje żywienia. Otóż niechno zabraknie paszy, bo nie można wlec za sobą pięćset akrów łąk, a zaprzęg ustaje, wysila się upada, ginie z głodu, a dom toczący się przestaje się toczyć i stoi tak nieruchomie jak oto bungalow, w którym właśnie rozprawiamy. Wynika więc z tego że dom taki wtedy dopiero byłby praktycznym, gdyby był domem parowym.

— Któryby posuwał się po szynach, wykrzyknął kapitan ruszając ramionami, kłaniam uniżenie.

— Nie po szynach, ale po gościńcach, odpowiedział inżynier, a to za pomocą udoskonalonej drożnej lokomotywy...

— Brawo! wykrzyknął kapitan, brawo! Skoro tylko ten twój dom parowy nie będzie toczyć się po szynach i będzie mógł kierować się wedle własnej fantazyi nietrzymając się niewolniczo toru żelaznych kolei, przyklasnę mu z całej duszy.

— Ale, zauważyłem, jeżeli muły, osły, konie, woły, słonie jedzą, toż i maszyna je także, i jeżeliby jej zabrakło materyału do palenia, to i ona wstrzyma się w drodze.

— Koń parowy, odparł Banks, wyrównywa siłą trzem do czterem koniom naturalnym, a siła ta może być jeszcze powiększoną. Koń parowy nie podpada ani strudzeniu, ani chorobie. W każdej porze, w różnych strefach, czy to słońce czy deszcz czy śniegi, on zawsze biegnie niezmordowanie, nie znuża się nigdy. Nie boi się nawet napadu dzikich zwierząt ani ukąszenia gadu, ani ukłucia bąków lub innych jadowitych owadów. Nie potrzebuje on ani dodania ostrogi ani bicza

woźnicy i snu mu nie potrzeba. Koń parowy zrobiony ręką człowieka, doskonalszy jest od wszelkich stworzeń, które Opatrzność dała na usługi człowiekowi; trochę oliwy lub tłustości, nieco węgli lub drzewa oto czem się żywi. Zresztą wiecie sami przyjaciele że na półwyspie indyjskim nie brakuje drzew, a drzewo należy do każdego.

— Dobrze mówi! wykrzyknął kapitan Hod, hurrah koń parowy! Już widzę oczyma wyobraźni dom toczący się inżyniera Banks, przebiegający główne drogi Indyi, zagłębiający się w lasy, wnikający prawie aż do legowisk lwów, tygrysów, niedźwiedzi, panter, a my w ukryciu murów wyprawimy sobie łowy i polowania na dzikie zwierzęta, o jakich najsłynniejsi Nemrodowie pojęcia nawet nie mają! Ah, Banks, ślinka mi płynie do ust i żałuję żem się nie urodził o jakie pięćdziesiąt lat później.

— A to dla czego mój kapitanie?

— Ponieważ za pięćdziesiąt lat marzenia twoje zostaną urzeczywistnione, dom parowy zostanie zbudowany.

— Już jest zbudowany, odrzekł spokojnie inżynier.

— Jest gotów, a może i ty go wykonałeś?

— Tak, i jednej tylko może obawiałbym się rzeczy, to jest czy nie przewyższa on twoich marzeń.

— W drogę, w drogę Banks! wykrzyknął kapitan Hod, który zerwał się jak gdyby pod wrażeniem bateryi elektrycznej. Był już gotowy tej chwili do odjazdu. Inżynier uspokoił go skinieniem ręki, później głosem poważniejszym zwróciwszy się do Edwarda Munro:

— „Kochany Edwardzie, rzekł, jeżeli oddaję dom toczący się

na twoje usługi, jeżeli od dziś za miesiąc gdy nadejdzie stosowna pora przyjdę powiedzieć ci: Oto twój pokój który z tobą może jechać gdzie zechcesz, oto twoi przyjaciele, Maucler, kapitan Hod i ja, którzy pragniemy tobie towarzyszyć w wycieczce na północ Indyi, czy odpowiesz mi: Jedźmy Banks, jedźmy i niech nas ma w opiece Bóg, czuwający nad podróżnikami?

— Tak jest moi przyjaciele, rzekł pułkownik Munro po chwilowej rozwadze. Banks, oddaję w twój zarząd pieniądze potrzebne. Dotrzymaj przyrzeczenia, sprowadź nam ten idealny dom parowy, który prześcignie jeszcze marzenia Hoda, a zwiedzimy całe Indye.

— Hurrah, hurrah, hurrah! wykrzyknął kapitan Hod, biada dziczyznie z okolic Nepaul!

W tej chwili sierzant Mac Neil zwabiony wykrzykami hurrah, kapitana, stanął we drzwiach pomieszkania.

— Mac Neil, rzekł do niego pułkownik Munro, jedziemy za miesiąc do północnych Indyi, czy jedziesz z nami?

— Nie mogłoby być inaczej, mój pułkowniku, skoro ty jedziesz, odpowiedział sierzant Mac Neil.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Przypisy

[1]. Błąd w druku; powinno być – krwawym.
[2]. Kobieta która nie posiadając tytułów, wychodzi za baroneta lub za szlachcica, dostaje tytuł lady przed nazwiskiem swego męża. Ale tytuł ten nie może poprzedzać jej imienia chrzestnego, gdyż to przysługuje tylko córkom parów.
[3]. Błąd w druku; powinno być – niepodobna.
[4]. Błąd w druku; powinno być – niekiedy.
[5]. Około 8 kilometrów.
[6]. Błąd w druku; powinno być – słuszność.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok